

wałek pnia i teraz – o pół metra niższa – całkiem ładnie wyglądała, włożona z powrotem do specjalnego stojaka z wodą. Pokiwałem głową z uznaniem.

– Choinka *bonzai* – zawyrokowałem, zacierając dłonie. – To co, ubierzemy ją?

– Ja to zrobię – rzekł pospiesznie, patrząc na mnie podejrzliwie. – Ty jesteś dziś jakiś dziwny i boję się, że ubierzesz ją... sam nie wiem jak. W dres, szlafrok albo w ogóle założysz jej bieliznę. Idź piec chleb, obiecałeś, że upieczesz, tak?

Ogłuszony nieco wizją choinki w biustonoszu lub bokserkach, posłusznie poszedłem do kuchni. Za mną podreptał Elf, z lubością wyciągając nochał w kierunku stołu. Na ten widok złapałem się za głowę.

– Śledzie! – jęknąłem boleśnie. – Zapomniałem o nich, chyba wymoczyły się na śmierć...!

– Jeśli moczyłeś w occie żywe śledzie, to ja już nie mam słów – dobiegło z pokoju. – Postaw nad nimi swojego pięknego aniołka, będzie jak znalazł...!



Złowroga zima i walka z Petzajacym Zakwasem

Dziś sporo się nauczyłem. Po pierwsze, że choinka to rodzaj drzewa, którego nie należy obgryzać. Zanim Duży wrócił, podejrzewałem, że moja działalność przy drzewku mu się nie spodoba... i miałem rację. Wyraźnie czułem, że gdy patrzy na udoskonaloną przeze mnie choinkę, jest sfrustrowany. Młody zaś pachniał uciechą, ale on często reaguje na moje dokonania pozytywnie, podczas gdy Duży łapie się za głowę.

Trzeba nad tym moim Dużym jeszcze popracować – to pewne!

Tak czy inaczej, choinka teraz jest nieco mniejsza, zaś ci moi zwariowani ludzie poprzyczepiali do niej różne takie okrągłe rzeczy. Z początku okropnie się ucieszyłem, bo byłem pewien, że to są piłeczki! No wiecie – takie, które się rzuca na spacerze i które można gryźć. Ale te piłeczki są zupełnie inne: raz przypadkiem Duży nadepnął na jedną, a ta piłeczka (oni mówią na nie „bombki”) od razu rozleciała się w drobny mak. Pff...! Co to za satysfakcja...? Każdy zdrowy na umyśle wie, że największą radość sprawia takie wgryzanie się w piłeczkę, by – po sporym wysiłku – odgryźć kawałeczek. A ta rozpadła się od razu.

Niech sobie mają te swoje bombki. Ja już więcej nie zamierzam się nimi interesować.

Potem byliśmy na spacerze. Spacery są ostatnio trochę inne, bo jeszcze nie tak dawno wciąż świeciło słońce i było ciepło, a od jakiegoś czasu często pada deszcz i zrobiło się zdecydowanie chłodniej.

– Aleś ty naiwny, Elfie! – rzekł pobłaźliwie Fermi, którego spotkaliśmy na dworze, bo akurat też wyszedł z Kubą, swoim człowiekiem. – Przecież nadchodzi zima!

Fermi jest mniejszy ode mnie, czarny, a ogonek ma dość krótki, niemniej często nim merda, podobnie jak ja. Co najważniejsze, jest ode mnie trochę starszy i wie mnóstwo rzeczy, których ja jeszcze nie wiem. Dlatego bardzo lubię z nim rozmawiać.

– Zima? – spytałem zdezorientowany. – A co to jest ta cała zima? I dlaczego ona ma przyjść? I jak często przychodzi? Jest groźna? Może... może trzeba przed nią bronić ludzi?!

– Zwariowałaś?! – spytał trzeźwo. – Zima to zima. To taki czas, gdy robi się chłodno, a czasem nawet bardzo zimno. No i zaczyna w końcu padać śnieg!

To mi się już kompletnie przestało podobać. Nie dość, że ciągle rozglądam się za tym jakimś Mikołajem, który też ma przyjść, to w dodatku niebawem nadejdzie zima, a do tego jeszcze ten cały śnieg.

Wyjaśnienia Fermiego odnośnie śniegu były jednak dziwnie mętne. Deszcz znam i rozumiem – po prostu z nieba czasem leci woda. Duży ma taki deszcz u nas w domu, w łazience, w takiej budce, na którą mówi „prysznic”. Wielkie mi co! Ale żeby z nieba miało lecieć

coś białego, co przykrywa całą ziemię? W to już ciężko mi było uwierzyć.

Wróciliśmy do domu. Trochę uspokoiłem się po tych wszystkich nowych dla mnie wiadomościach, a wtedy – niczym grom z jasnego nieba – spadło na nas coś takiego, że prawie byśmy wszyscy zginęli, gdyby nie ja...! Okropny potwór pojawił się w kuchni, pełzał i wydawał z siebie dziwne odgłosy, i było go coraz więcej i więcej! Szczekałem i warczałem, najgroźniej jak potrafiłem, i nawet raz go ugryzłem, no i w końcu się uspokoił. Oklapł, skurczył się i chyba zdechł, bo już się nie ruszał i nie wydawał z siebie odgłosów.

W pierwszej chwili pomyślałem, że tajemniczy stwór to może ów legendarny Mikołaj, o którego nadejściu ostatnio mówią wszyscy ludzie. Okazało się w końcu, że chyba nie, bo Duży nazywał potwora „chlebem”, gdy sprzątał potem jego zwłoki. Myślę jednak, że Dużemu coś się pomyliło, bo jak wygląda i smakuje chleb, to ja dobrze wiem. Paćkowaty, nieżywy potwór na pewno nie był chlebem.

I co wy na to? Po raz kolejny uratowałem moim ludziom życie. Sami powiedzcie: co oni by beze mnie zrobili...?!





Przed wyjściem z Elfem na spacer podejrzliwie przyjrzałem się zakwasowi na chleb. Wyglądał dziwnie niemrawo i, moim zdaniem, wymagał pewnej zachęty.

– Co to? – spytał nieufnie Młody, wchodząc do kuchni i pociągając nosem. – To właśnie to coś tak dziwnie pachnie?

– A potem wspaniale smakuje – odparłem krótko, lekko mieszając w misce drewnianą łyżką. – To zakwas, mówiłem ci już. Chcę, żebyśmy mieli na święta dobry, domowy chleb. Ale nie wiem, czy...

– Zakwasy to ja mam po gorszych treningach – mruknął Młody, przerywając mi dość bezceremonialnie i wyjmując z lodówki jogurt naturalny. – Rozumiem jednak, że to coś to jest jakiś inny zakwas.

Chwilę zajęło mi wytłumaczenie, co oznacza zakwas na chleb sporządzony z żytniej mąki, drożdży i wody.

– Tyle że on powinien urosnąć – rzekłem zatroskany, patrząc na nieruchawy i niechętny do współpracy zakwas mojej produkcji. – Poczekaj chwilę, muszę to sprawdzić.

W internecie znalazłem kilka porad. Dosypałem do zakwasu jeszcze trochę drożdży i mąki, dolałem letniej wody, po czym – po dłuższym namyśle – umieściłem dużą miskę z zakwasem na naszej kuchence, na najmniejszym palniku elektrycznym ustawionym na absolutne minimum.

– Jest zima, w domu też jest chłodniej – mruknąłem niepewnie, regulując palnik. – A zakwas musi mieć ciepło.

– To nastaw na maksa, i tyle! – rzekł Młody zachęcająco, zakładając Elfowi szelki. – I pospiesz się, bo pies mówi, że już chce iść.

– Na maksa nie wolno, bo zamordujemy zakwas! – przeraziłem się, odruchowo cofając dłoń od pokręta. – Z zakwasem trzeba delikatnie, to kapryśne stworzenie.

– Przynieś mu kwiaty i bombonierkę...

– Tak, śmieję się, śmieję – prychnąłem. – A kto potem smaruje mój własnoręcznie upieczony chlebek masłem i mówi, że niebo w gębie, hę?

– No, dobry jest – przyznał Młody, oblizując się ze smakiem i przytrzymując Elfa za szelki. – A kiedy będzie gotowy?

– Ten chleb pieczemy na święta – odparłem z naciskiem. – To jest prawdziwy chleb, długo będzie świeży i dobry. Jutro upiekę cztery bochenki i zabierzemy je do Biestrzykowa. Zdajesz sobie sprawę, że Wigilia jest już za trzy dni?

Te święta postanowiliśmy jak zwykle spędzić z rodziną – u mojej cioci Ewy, w jej dużym domu w Biestrzykowie pod Wrocławiem. Tam w każde święta spotykaliśmy się niemal wszyscy – i Ewa, i jej mąż Bogdan, zawsze była też moja ukochana babcia Halinka, która wychowała mnie niemal od urodzenia...

Nie byłem tylko pewien, czy w tym roku będą na Wigilii Michał i Krzysiek, synowie Ewy, wraz ze swoimi rodzinami. Może jednak upiec sześć bochenków?!

Myśl o babci przypomniała mi o czymś.

– No i babcia będzie – westchnąłem ciężko. – Muszę jakoś namówić Elfa, by był dla niej szczególnie miły...

– Dasz radę – rzekł Młody stanowczo. – On każdego potrafi do siebie przekonać!

Znowu westchnąłem, bo akurat ten przypadek mógł być dość ciężki.

Babcia Halinka lubiła zwierzęta – ale nie w domu. Każde święta czy inna wizyta u Ewy sprawiała, że babcia narzekała niemal bezustannie: a to włązą do kuchni, a to sierść fruwa, a to szczekają, a to jeszcze coś innego...

Gdy kilka miesięcy temu oznajmiłem jej, że wraz z Młodym przygarniamy psa ze schroniska, babcia umilkła na długą chwilę, po czym zaczęła mi wyliczać wszystkie negatywne skutki takiej decyzji. Ja jednak byłem twardy, ciągle powtarzałem, że ten pies to po prostu unikalny skarb, inny od wszystkich i niewiarygodnie mądry, co na babci – niestety – nie zrobiło najmniejszego wrażenia. Gdy niedługo potem Ewa przygarnęła siostrę Elfa, Erkę, babcia nieomal się obraziła.



Te święta będą swego rodzaju testem. Babcia miała poznać i Elfa, i jego siostrę.

– Sześć psów w domu! – jęknęła ze zgrozą nie dalej jak wczoraj, gdy rozmawiałem z nią przez telefon. – I cztery koty...! Ja zwariuję.

– Nie zwariujesz tak od razu – rzekłem niepewnie. – To ponoć zajmuje trochę czasu...

– Zrobię to w trybie przyspieszonym – odparła stanowczo i złowrogo. – I to wy będziecie mieli mnie na sumieniu!

Wobec takiego *dictum* zamilkłem, ale postanowiłem zrobić, co tylko się da, by ulżyć ukochanej babci w trudnych warunkach. Bo przecież babcia Halinka była precudowną, pełną ciepła i miłości kobietą, a – moim zdaniem – Elfa nie dało się nie kochać...

Zakwas został w swojej wielkiej misce na kuchence, ja zaś wzruszyłem bezradnie ramionami, włożyłem kurtkę i poszliśmy w końcu na spacer. Po drodze spotkaliśmy Kubę z Fermim. Psiaki wybiegały się na starym boisku, a i mnie zrobiło się jakoś lepiej na duszy.

Na koniec złożyliśmy sobie z Kubą serdeczne życzenia świąteczne, zaś Elf, jak to on, niezmiernie oburzył się na uścisk, jaki wymieniłem z przyjacielem.

– No, chodź tu do nas – roześmiałem się w końcu, przygarniając i jego, gdyż obskakiwał nas niemiłosiernie. – Ty też złóż Kubie życzenia, a co...!

Do życzeń przyłączył się Fermi i tak skończyliśmy zasadniczą część spaceru na boiskowej murawie, wśród sześciu rąk, ośmiu psich łap i dwóch różowych jęzorów. Ech, dla takich chwil warto żyć!

– Ale z babcią faktycznie może być problem – mruknął Młody, gdy szliśmy wzdłuż bloku do naszej bramy.

– W sumie to niemal postawiła ci ultimatum: albo pies, albo ona...

– Mam nadzieję, że to przemyślała – rzekłem z troską. – Wiesz, jaka uparta potrafi być. Ale jakoś... jakoś... – zabrakło mi słów.

– Jakoś to będzie – dokończył cicho, schylił się i pieszczotliwie potarł Elfę za uszy. – Ja już ci mówiłem, że ten pies robi coś, co przekona do niego babcię. Na bank coś wymyśli!

– Obyś miał rację – westchnąłem. – Obyś miał rację, Młody.

Jak się miało okazać już następnego dnia, Młody miał rację. Choć nikt z nas nie wpadłby na to, CO robi nasz pies...

Po wejściu do mieszkania uderzył mnie nietypowy, dość intensywny aromat. Nie potrafiłem go zidentyfikować i odruchowo rozejrzałem się po przedpokoju.

– Coś pachnie – rzekł Młody w tej samej chwili, odpinając smycz od szelek Elfy.

Pies popędził do kuchni, jak zwykle po spacerze chcąc napić się wody ze swojej miski... i w tym momencie rozpętało się piekło.

Elf zaniósł się w kuchni takim wściekłym szczekaniem, że aż wbiło mnie na moment w podłogę. Wyskoczył tyłem z kuchni, ze zjeżoną sierścią na grzbiecie, a potem z głuchym warkotem na powrót ruszył do boju.

– Co tam jest?! – jęknął Młody, porzucając zdejmowanie butów i ruszając za psem.

Wystartowałem akurat w tym samym momencie, co spowodowało, że łupnęliśmy się głowami, aż mi gwiazdy przed oczami stanęły. Lekko ogłuszony, podtrzymałem Młodego, zrobiliśmy kilka kroków, spojrzeliśmy na kuchnię i głos nam obu odjęło.

Kuchenną podłogę w dużej części pokrywała burobrazowa masa, wypływająca z miski zostawionej na kuchence. Masa leniwie bulgotała, robiło się jej coraz więcej, zaś nasz pies bezlitośnie atakował niespodziewanego, nieznanego wroga.

– Elfie, zostaw! – krzyknąłem rozpaczliwie, rzucając się do przodu i starając się złapać psa, skaczącego na szalejący zakwas. – To jest... to jest chleb! Zostaw chleb! Nie wolno!

Elf zastygł na moment i spojrzął na mnie wzrokiem wyrażającym absolutną dezaprobatę. Przez króciutki moment miałem wrażenie, że gdyby mógł, to popukałby się łapą w czoło na znak mojej nieznamomości tematu wrogów atakujących nasz dom. Potem ponownie rzucił się do walki: warczał, czekał, sierść wzdłuż grzbietu sterczała mu sztywno, aż w końcu zdobył się na czyn ostateczny: **UGRYZŁ WROGA.**

Po czym zamarł, oblizał nos z burej masy, z zastanowieniem spojrzął na nią raz jeszcze i pacnął łapą w jeden z bąbli, akurat tworzących się na powierzchni niesfornego zakwasu.